

Adolf Nowaczyński

Proboszcz wśród... Polaków

DWA TUZY I KSIĄDZ.

Takie dwa tuzy nowomodnej, nowoczesnej, najnowocześniejszej literatury, jak amerykański O'Neill i jak francuski Martin du Gard, dali w ostatnich najostatniejszych swych dziełach, z datą 1934, jako bohatera czy główną postać swych utworów... proboszcza! Księdza! „Kleheć”, czyli „okupanta”, jak za Boyem powtarzają panowie Rogowicz, Zrębiewicz i inne sanacyjne Syny Wdowy, okupujące dziś... i polskie „Radio”.

Roger Martin du Gard z „Nouvelles Littéraires” dał proboszcza w powieści „La Vieille France”, wydanej u Gallimarda. J. O'Neill dał proboszcza w sztuce p. t.: „Days without End” (Dni bez końca), granej w awangardowym, czystoliterackim, nowojorskim Guild - Theatres.

Ponieważ Warszawa od roku 1916 otoczona jest t. zw. ejr-wem, to jest niewidzialnym, symbolicznym drutem, zaznaczającym, że to jest stolica nie tylko Jakichś Polaków, przeto ani „Days without End” nie będą grane w żadnym polskim teatrze, ani „La Vieille France” nie będzie na polski język tłumaczona, tak jak nie została tłumaczona na polski za karę przedostatnia powieść Wellsa, (w której rozpusta Baruchówna gra fatalną rolę), jak też nie będzie tłumaczona na polskie ostatnia powieść Pawła Moranda „France la douce”, dająca galerię kryminalistów i criminaloidów żydowskich, i tak, jak nie jest tłumaczonych na polskie cała moc książek nowych, ciekawych, jak Sigridy Undset, jak rosyjskich powieściopisarzy: Wojnowej i Rachmanowej, i hiszpańskiego laureata, Jacinto Benavente, i nowa powieść Pucciniego („Ebrei”) i sto (100) książek innych. Galopem natomiast tłumaczy się tonną siecią obok składowego żydowskiego komiwojażera, Egonu Erwina Kischka, czy Kischka: „Oblicze Azji Sowieckiej”, i galopem, na obalunek antykwaryzacji Fruchtmanna z Świętokrzyskiej, posłusznie reklamuje to któryś z exparyskich gargotów esprifortów trzeciej sorty.

O... proboszczach Martin du Gard i O'Neill dowiadujemy się z francuskich tygodników i równocześnie także z polsko - żydowskich periodyków, których pospiech informacyjny, różnorodność barwności i dobór tematów omawianych, powinien stać się raz wreszcie wzorem dla innych, poezjiwie nudnych, monotonię swojskich, rodzimost li-tylko po raz setny przeżuwających, przeraźliwą jałowoscią ostrzegających resztki czytelników żywych, żyjących, o dobrej woli, ale i o kończącej się już cierpliwości...

PROBOSZCZ MARTIN DU GARDE'A.

Zalecany przez całe lata przez naszych, dzisiaj już skamandarynow literackich, Martin du Gard dał zdaje się całkiem satyryczny przekrój czy przegląd Francji terenowej, to jest prowincjonalnej, wiejskiej, skondensowany w jednej takiej przeciętnej wiosce Maupeyron. W galerii sylwetek tych wieśniaków, co „żywią i bronią” przeważnie same paskudy i obrzydliwe, do szpiku kości materialistyczne, laicyzyczne, chciwe na grosz i marne; największa gązdzina, listonosz wioski, Joigneau, filar wyborczy obozu lewicowego, jeden z tych milionów citoyenów, którzy parlament (Folies Bourbons) zapewnili sutenerami i cambriolerami. A w tem małym mrowisku chłopskim jedyny człowiek na obraz i podobieństwo Boskie, prêtre, zbied, niały doszczętnie, istny Trapiśta i poverello, nowolujący przez 35 lat to bezbożne bydlę do zastanowienia się nad sensem życia, zapraszający ich do kościoła, ale bezskutecznie. Kościół jest z roku na rok pustszy, tak w tej kumorce organizmu III-ciej Republiki, jak i w innych. Książka Verne zginałby z głodu, gdyby nie ogródki i króliki.

I autor cyklicznych „Les Thiebault” opisuje 35-letnią

Gehennę tego jedyne obnosiciela i apostoła wartości duchowych w tej gromadzie dżunogów. A z tej galerii konterfektów znacząco już wyraźnie powrót samego Martin du Garda „do wiary przodków... „Thiebaultów”, żarliwych purytańskich katolików, wśród których sam siebie ongiś jako Jacquesa opisał.

PROBOSZCZ O'NEILLA.

Drugą niespodzianką następcza największy dziś dramatysta i reformator teatru w Ameryce, autor „Cesarza Jonesa”... „Helenie jest do twarzy w żalobie” i wielu innych utworów scenicznych, z których niektóre grane były we... Lwowie. Nowy dramat O. Neilla jest zdaje się bardzo osobisty i bardzo symptomatyczny. Już jego wystawienie w teatrze awangardowym, protegowanym, odwiedzanym i otoczonym morzem nowojorskiego, bankierskiego, oświeconego, a skroś amoralnego i satanicznego „jahudim”, jest wprost fenomenem. Jeszcze większym fenomenem treść i bohater dramatu, powieściopisarz, który przedziwne perypetje przechodzi z ukochaną żoną, i któremu stale w sztuce towarzyszy mistyczny sobowtór, jego własna podświadomość. Ten powieściopisarz John dla bardzo skomplikowanych psychicznie powodów, chce się pozbyć ukochanej żony i w tym celu pisze... powieść otwierającą ich współżycie, w której zabija swoją żonę, popychając ją do śmiertelnej grypy.

Dajmy teraz głos i zacytujmy tygodnik żydowski, który pierwszy pośpieszył się z relacją z tej nowojorskiej premiery convertyty:

„Zjawia się stryj, skromny proboszcz wiejski, którego John od lat nie widział, i zmusza go do opowiedzenia jemu i żonie treści swego utworu. Z tego dowiaduje się żona, iż mąż zdradza ją z najserdeczniejszą przyjaciółką, „właśnie dlatego, że ją tak kocha” i z tego samego powodu pragnie ją zabić. W rozpacz wybiega nie patrząc przed siebie z domu w noc, i akurat! — przecięła się mocno i zapada na ciężkąrypę. Stryj — ksiądz, który już w poprzednich aktach usiłował Johna nawrócić do Boga, co zawsze szczyderco przyjmowane było przez „podświadomość” — kłęka w zwątpieniu i modli się o pociechę niebios, żona umiera, John walczy ze swym drugim ja, wreszcie ucieka do świątyni. Nastroj

mistyczny, ponure, gotyckie sklepienia. John próbuje się modlić. Ja wysmiewa go, walczy z nim, — wreszcie zwycięża. Zia Jazn z mefistofelowskim śmiechem zapada pod ziemię wraz z pierwszym słowem modlitwy: zjawia się również stryj-kaplan i przynosi pomyślną wiadomość, że żona szczęśliwie przeszła kryzys choroby.

W JEDNYM MIESIĄCU.

Taką rolę gra „skromny proboszcz” w nowym utworze scenicznym największego dziś dramatysty amerykańskiego. Żydowski tygodnik dodaje do tego, że jest to już upadek talentu, że „wulgarne efekty” i że sztuka O. Neilla „nie będzie miała wielkiego powodzenia”.

Bardzo to możliwe, panowie z „Lektury”, ale nie w tem rzecz, nie o to chodzi. Niech sobie powodzenia nie ma, ale fenomen nie przestaje być fenomenem, że najbardziej rewolucyjny dotychczas, najbardziej pogański, ongiś bluźnierczy autor amerykański — w postaci księdza katolickiego daje najwyższe kryterium moralne, przeciwstawiając jego siłę satanicznej podświadomości (duchowi materji), że modlitwą (modlitwą!) rozwiązuje węzeł dramatyczny, no, i że tak... staromodną koncepcję ośmiela się sprezentować publice amerykańskiej, skroś indyferentnej, spalej, pijakiej, zbydlęconej, a tak bezlitośnie świeżo scharakteryzowanej przez najautentyczniejszego eksperta, bo przez genialnego Czernańskiego, kilka lat już z tą bogatą hołotą obcujaćego.

Ergo w jednym tylko miesiącu marcu r. 1934 dwie takie niespodzianki: Martin du Gard i O'Neill, obydwie z krajów religijnie zubożniałych, indyferentnych, laicyzycznych!

A JAK U NAS?

Jakżeż zaś to teraz jest u nas w t. zwanym narodzie katolickim w jego piśmiennictwie dzisiejszym?

Akurat leży na biurku wydany na luksusowym papierze, a dwa złote (sic!) kosztujący, gruby i gruboskórny paszkwil na duchowieństwo, nakładem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jeszcze nie rozszedł się 600-stronicowy dla najzdrowszych prymitywów ciężko strawny zakalec dr. Spa-

sowskiego, druzgocący „w drobniaki” i niebo i piekło i Watykan i Częstochowę. udowadniający czarno na białem cytatami z... Shawa i Wellsa... że żadnego Boga wogóle nie było i nie będzie, zakalec, swą kolosalną erudycją, świeżo czerpaną z tysiąca dzieł zdolny oszołomić legjony belfrów i suplentów prowincjonalnych, kiedy już nam daje nowe opus Bogoburcze koleżanka Janina Barycka (czy nie od Cezarego Baryki nazwisko?), oparte li tylko na „dokumentach” i „faktach”, w najciemniejszym świetle prezentujące cały kler polski od dołu do góry. Od czasów wyjścia broszury donny Lebenbaum — Sierpiutowskiej nie było dzieła tak bezlitośnie stwierdzającego (względnie denuncjującego) „niebłagonadźność”, kramolę antydyktatową, „odchylenia od generalnej linii” i buntownictwo naszego kleru. Wedle definitywnych konkluzji koleżanki Baryckiej (od Baryki?), cały kler jest antysanacyjny, antyautoritarny, liberalniczący, antimilitarny, antipapiastowy, czego dokumentami dowodzi, i co pokornie do stóp składa Janina Barycka. W walce z Ciemnogradem i z ponurymi siłami wstecnictwa ona zgłasza się i staje pierwsza.

Zanim rozszalała i rozwrzeszczała jejmość cześć i spacyfikuj ją kompetentni, pozwalamy tu sobie zwrócić uwagę do czego to Francję doprowadzili tacy Spasowscy i takie Baryckie i ta cała „L'Ecole Liberatrice i te synodykaty i kongresy belfrów i bakałarzy masonskich i te ministery wyznań i oświaty, Synowie Wdowy, Panameczyki i porubczyki (à la de Monzie) i takie ich fa-woryty, jak ten okazowy, symboliczny:

„Gaston Bonnaure, député, président de la Fédération des Jeunes laïques républicaines de France” (według biletu wizytowego) szantażysta, kubaniarz, kryminalista, Stawickiego kompan, do parlamentu wprowadzony przez E. Herriota, tego samego, który w r. 1916 zakłinał Polaków, aby uwierzyli słowom manifestu Wielkiego Książa M. Mikolajewicza (sic!). Przygoto-

wuje grunt na przyjęcie przyszłego polskiego Gastona Bonnaure Cyklopowaty Spasowski i toruje drogę przyszłemu polskiemu „président de la Fédération de Jeunes laïques” wiedzimowata w swej furji koleżanka Barycka. Na użytek i benefis młodych komosolców idzie ta cała wysoko z góry podbechtowana i przez polskich de Monzie suflerowana generalna dyffamacja biskupów i... proboszczów.

NIE MAURIAC JEDEN!

A jaka równocześnie jest postawa naszego świata piszącego, literatury nadobnej?... Francja ma przeciwwagę do zbrodniczej akcji Bonnaurów i „Synów Wdowy” z ul. Cadet w całej plejadzie świetnych i słynnych powieściopisarzy, dramatystów, poetów i essayistów, ofensywnie katolickich. Nie Mauriac jeden! (A może kiedyś dojdzie się do przekonanania, że Mauriac... najmniej!). Ten głęboki chrześcijanin coś jakoś z zanadto niechrześcijańską pasją przyciska do ściany i dręcząc pastwi się nad niedoskonałością człowieczeństwa... katolickiego... Ale jest cała plejada innych, może mniej olśniewających i jest przedewszystkiem Bernanos z takimi niezapomnianymi postaciami duszpasterzy, jak płomienisty Donissau, jak problematyczny Cenabre, i jak subtelna gaduła proboszcz Lurrans...

Ale miłych proboszczów i księży dawali przecież w swych powieściach i komediach i pomniejszych beletryści, jak Abel Hermant, jad Lavedan, jak spółka de Flers i Caillavet, jak feljetonista C. Vautel, jak dawniej Barrés i R. Bazin (autor „Les Oberles”). W beletryście Francji wolterjańskiej, combesowskiej, a nawet w herriotowskiej Francji, dość często występował ciepły typ proboszcza wśród bogatych i proboszcza wśród biednych. Oddzielono tam Kościół od państwa, ale nie zdołano literaturze zakazać przypomniania... Joanny d'Arc. Ostatnią książką i lekturą umiara-ającego Clemenceau była jednak „Historja Papieża” R. Pastora... Związek katolickich... aktorów i aktorów francuskich (sic!) liczy kilka tysięcy członków!... Respekt, jaki otacza zmarłego Pegouy, Gheona, Claudela, Mari-

taina równoważy dziś stosunek opinii publicznej do takiej kanalii, jak ten Margueritte, jeden z niezliczonych sutenerów Stawickiego.

Nie dziwiło też tych, co się ledwie conieco orientują w literackim Paryżu, gdy Mauriac został w zeszłym roku prezesem „Gens de Lettres”, jak znówuż znawców najnowszej literatury nie zaskoczył teraz typ księdza Verne w powieści: „Vieille France”...

U NAS NIE ISTNIEJE.

Proboszcza wśród Polaków w dzisiejszej beletryście polskiej niema. Nie istnieje też... na scenie polskiej.

I to jest zastanawiające... oryginalne... ciekawe, no, i zdaje się chyba niepokojące... Jest książka Ardouin u Mauriaca („Gniazdo żmij”), jest książka Brown u Chestertona, „dodatnie” sylwety popów u Aldanowa (Landaua), i sympatyczne pastory u Niemców i Skandynawów. W nowej powojennej beletryście polskiej ani śladu. Czyżby Boy Mędrzec z Krakowa przegnał ich swoim caduceusem? O „fioletowej jar-mulce” pono raz gdzieś pogardliwie wspomina najwspanialszy gryziopiórek naszej ery krakowskiej, Bandrowski - Kaden - Juliusz. W nowelach polskich nigdzie, w powieści ani na lekarstwo. Czyżby katolicyzm nie odgrywał żadnej roli aktywnej w naszym życiu duchowym moralnym? Czyżby duchowieństwo zostało odsunięte od wszelkiej ingerencji w życie świeckich ludzi majowej ery? Czyżby więc istniały związki czy załazki jakieś może religij nowej?...

Tak! Jest zarys nowej religii, już niejako opartej na fundamentalnych dziełach obywatela Spasowskiego i koleżanki Baryckiej.

POD CZARNE SKRZYDŁA.

Ze zasię pod te czarne skrzydła opiekuńcze kadenacko - bandrowskie przeszła lub przechodzi z dnia na dzień cała głodująca literatura, więc tem też należy tłumaczyć, że postać... proboszcza, księdza, wogóle osoby duchownej, jako niepożądana (że widziara) tak w beletryście, jak i na scenie świeci swą wymowną nieobecnością...

Natomiast faworyzowaną, umiłowaną, wezwaną i wybraną postacią młodej beletrystyki jest ktoś inny.

I tu znów idą inicjacje z tego Krakowa, z którego prowadzi się Boy, „Tajny Detektyw”, Dziadosz i Kaden. Niech ktoś, kogo zacieka-wia ta „zatruta studnia” Pol-ski, zestawi sobie z tamtejszej „Gazety Literackiej” to, co swego czasu pisali tam K. Homolacs i Koniński. Potem niech przeczyta prosyjski manifest S. Pu-słowskiego. A potem niech go porówna z tu omawianą powieścią p. Rusinka. Przekonamy się wtedy, że tak jeden, jak i drugi krakowski autor otwierają swe serca i roztkliwiają się tylko nad jednym, nad „najbiedniejszym”, „bezradnym”, „na pośmiewisko wystawionym, naj-nieszczęśliwszym.” Nie jest nim już ani „bandos” Zeromskiego, ani „komornik” Orkana, ani tonący w beżmiarze nędzy chłopczy robotnik polski, ale tylko i wyłącznie żyd biedny.

I dzieje się i pisze się to wtedy, kiedy... Paul Morand, we „France la Douce” rzuca na papier galerię konterfektów semickich criminaloidów... Jacobi Kaltrich, Sacher, i kiedy Martin du Gard w „La Vieille France”, szkicuje postać ewangelicznego proboszcza Verne. Nadto: O'Neill i inni...

CZYJA WINA?

Pozostaje teraz do przedyskutowania sprawa ważna: ile jest w tym stanie, bądźco-bądź beczecnie anormalnym w piśmiennictwie naszym... winy... Polaków, a ile znów winy... proboszczów... że niema proboszcza wśród Polaków w dzisiejszej literaturze odrodzonej, państwowej Polskiej.

To już atoli jest problem całkiem poważny, wobec czego niech zabiera glos inni...

E. Bohowiczowa

Wiwulski w Wilnie w r. 1916

Artykuł Wandy Miłaszewskiej p. t. „Wiwulski” odnowił w mej pamięci obraz przeżytej Wilna i grona zebranych tam w roku 1916 „ucieczników”, grupujących się około wybitnego artysty, twórcy pomnika grunwaldzkiego w Krakowie i świątyni pod wezwaniem Serca Jezusowego w Wilnie.

Spotykaliśmy się na zebraniach tygodniowych u hr. Marty Krasin-skiej, przebywającej tam wówczas również chwilowo. Zebrania te gromadziły towarzystwo wileńskie, oraz goszczącą przelotnie w murach Wilna inteligencję, przybyłą ze wszystkich stron kraju. Wicezory, spędzane w kręgu światła małej lampy naftowej, w nastroju jakgdyby konspiracyjnym, zostawiały po sobie w umysłach wszystkich uczestników trwałe wspomnienie, zwłaszcza ze względu na zrozumiały w owym momencie stan napięcia nerwowego.

Atrakeje stanowiły wiadomości, komunikowane sobie wzajemnie z terenów wojny, atrakeja była osoba prof. Szelańskiego i jego pogadanki na tematy aktualne, wreszcie pociągająca osoba Wiwulskiego, który był tam stałym gościem. Mały, drobny, z bardzo interesującym wyrazem jasnych oczu, w góralskim kożusku, nie lubił, by na niego zwracać uwagę. Jednak, wyróżniany przez gościnną panią domu, stał się ośrodkiem zainteresowania całego grona.

Pielgrzymki do pracowni rzeźbiarza były celem miłych wycieczek, a zapoznanie się z planami twórcy stanowiły coraz większą atrakcję. Bardzo ciekawy i piękny projekt barzliki w stylu neoromańskim, budowany z betonu, interesował nas wszystkich. Obserwowaliśmy rozwój

budowy, prowadzonej z wielkim pietyzmem pod kierunkiem osobistym projektodawcy, który chętnie o tem rozmawiał, a nawet wprowadzał ciekawych na olbrzymie rusztowania, aż pod sklepienie, aby wyjaśnić zasadnicze podstawy konstrukcji architektonicznej.

Całe dnie spędzał Wiwulski na rusztowaniach, lub też w małej, o-

to go niekiedy od pracy, obowiązy-wało też do pewnych ofiar na cele społeczne. Wielkanoc w roku 1916 zastała w Wilnie liczne zastępy biedy. Na cele prac społecznych i filantropijnych stanęła ks. Michałow Ogińska. Prace jej w tym kierunku zasłużyły na wdzięczne utrwalenie. Dość zaznaczyć, że z chwilą wybuchu wojny zorganizowała i pro-



Baranek wielkanocny Wiwulskiego

bok kościoła umieszczonej „lepian-ce”, która służyła mu również za mieszkanie. Tam pracował nad planami wieży i ołtarzy. Przepiękny był projekt ołtarza: „Zdjęcie z krzyża”. Wiwulski zwierzał się raz z kłopotów, wywołanych brakiem modelki do postaci Magdaleny. Jakże się ucieszył, gdy przyprowadziła mu śliczną blondynkę, pannę B... uczennicę mojej szkoły muzycznej!

Życie towarzyskie, jakie odrywa-

to go niekiedy od pracy, obowiązy-wało też do pewnych ofiar na cele społeczne. Wielkanoc w roku 1916 zastała w Wilnie liczne zastępy biedy. Na cele prac społecznych i filantropijnych stanęła ks. Michałow Ogińska. Prace jej w tym kierunku zasłużyły na wdzięczne utrwalenie. Dość zaznaczyć, że z chwilą wybuchu wojny zorganizowała i pro-

czynny”, i spojrzenie mu przytem jasniało.

Dzisiaj może już niewiele przecho-wało się tej miłej i drogiej pamiętki, ale dla przypomnienia tak niedocenianej jeszcze postaci artysty warto utrwalić i ten drobni-ki, który dla wielu nie będzie może drobiażgiem.

Wiwulski umarł w Wilnie, nie dokonawszy świątyni. Zaziębł się na posterunku, stojąc na warcie. Bazylika straciła swego twórcę. Obecnie wielkie rusztowanie, dominujące na-ówczas nad Wilnem, zdjęto, a świątynię, chociaż nieukończoną, oddano wiernym.

Mało interesującym się spuścizną artystyczną Wiwulskiego i mało wiemy o tym ciekawym, uduchowio-nym i wielkiego talenta rzeźbiarzu. Warto więc zwięździej zapamiętać kościół, warto poznać się z pięk-nymi planami wieży i ołtarzy, wy-wieszonemi wewnątrz świątyni. Kto i kiedy podejmie się zrealizowania enoidei? Kto i kiedy ukończy wspaniałe dzieło świątyni i b. indy-widualnego artysty?

Wilno złożyło hołd pamięci Wiwulskiego: na bocznej ścianie ko-ścioła umieszczono płaskorzeźbę (dłuta Balzakiewicza), z której wy-lądła się doskonale uchwycona syl-weta przedewszystkiem zgasłego arty-ty. Na dużej kamiennej płycie wy-tyto napis:

ś. p. Antoni Wiwulski, ur. 7 lutego 1877 r. zm. w styczniu 1919 r.

Artysta-rzeźbiarz-architekt. Twórca projektu tej świątyni. Służył wiernie i pięknie. Syn tej ziemi — w walce o jej wyzwolenie poległ na poste-runku.

ś. p. Antoni Wiwulski, ur. 7 lutego 1877 r. zm. w styczniu 1919 r.

Artysta-rzeźbiarz-architekt. Twórca projektu tej świątyni. Służył wiernie i pięknie. Syn tej ziemi — w walce o jej wyzwolenie poległ na poste-runku.

ś. p. Antoni Wiwulski, ur. 7 lutego 1877 r. zm. w styczniu 1919 r.

Artysta-rzeźbiarz-architekt. Twórca projektu tej świątyni. Służył wiernie i pięknie. Syn tej ziemi — w walce o jej wyzwolenie poległ na poste-runku.